

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć ... (5)

Przegląd Pruszkowski nr 1, 60-74

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć ...^{*/} (5)

*Dziesiąty luty będziem pamiętali,
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli,
Na główną stację wszystkich wywozili.*

Ulica Protoczna

Dom z jednej strony przylegał do ulicy, z drugiej do brzegu „protoki”, czyli wąskiego przecieku rzeki Kan zasypanego z jednej strony wałem mostowym. Kilka kilometrów dalej, w dole rzeki, przeciek łączył się z nią. Stąd poziom wody w rozlewisku był zależny od poziomu wody w Kanie.

Dwa razy w roku występowały tu wahania poziomu wody: przy roztopach wiosennych i w lipcu, kiedy woda spływała z gór, ciągnących się wzdłuż granicy chińskiej.

Dwukrotny przypływ wody w „protoce” oczyszczał ją nieco z miejskich śmieci, nawozu końskiego i innych zanieczyszczeń. Ogólnie było to miejsce bardzo brudne i cuchnące o brzegu nasiąkniętym gnojówką.

Dom był z okrągłych bali z wiekiem zczerniałych z zewnątrz, uszczelnionych mchem i krzyżujących się w narożnikach. Pokryto go dwuspadowym dachem z desek łupanych „na zakładkę”. Szczyt zadaszenia od strony obejścia był zabity deskami, a z przeciwnej strony cały otwarty i od tej strony można było wejść na strych za pomocą drabinki i znaleźć tam resztki słomy lub siana.

Ściany wewnętrzne osadzone na międzybalach były wylepione gliną i pobielone wapnem. Powierzchnia izby mieszkalnej wynosiła około 6 x 4,5m, a wysokość około 2,2 metra. Podłoga była z podmurzałych, nierównych desek, jedyne małe okno wychodziło na ulicę.

Drzwi wejściowe były z prawej strony budynku, patrząc z zewnątrz, dwa kroki za wejściem stał piec murowany z paleniskiem pod płytą kuchenną i dwoma fajerkami. Za paleniskiem górowała nadmurówka grzejna podobna do małego pieca kaflowego, którą nazywaliśmy przylepką. Stojąc tyłem do niej mogły sobie ogrzać plecy dwie osoby.

W kątach izby były trzy prycze o wymiarach około 2 x 1,5m, pod oknem stół z bokami zaklinowanymi w literę X.

* / Z „Pieśni syberyjskiej”, autorka Anna K.

W takiej to izbie zamieszkały nasze rodziny. Rozmieściliśmy się następująco:

- na pryczy za przyłepką piecową rodzina Grochowskich,
- po środku izby, za stołem, rodzina Tarków,
- w lewym rogu, za oknem rodzina Calików,
- w następnym rogu moja rodzina,
- przy ścianie, do samych drzwi, na gołej podłodze rodzina Cymermanów.

Wkrótce po zamieszkaniu na Protocznej panowie Tarko i Cymerman sklecieli sobie prycze.

W naszym wygnańczym domu było także oświetlenie. U sufitu, bliżej okna, w zwykłej oprawce bez klosza wisiała na skręconym z dwóch żył przewodzie żarówka elektryczna o mocy nie przekraczającej 40 watów. Nie było do niej wyłącznika. Nie był on zresztą potrzebny, gdyż oświetlenie włączano o zmierzchu a wyłączano rano.

Światło nocą było dla nas bardzo ważne ze względu na pluskwy, które atakują w ciemności, toteż miejsca oświetlone były przez te insekty omijane, przebiegały przez nie ukradkiem, chowając się w zakamarkach pościeli lub w szparach pryczy. Stąd światło w nocy ułatwiało polowanie na pluskwy. Poza tym paląca się żarówka ułatwiała wychodzenie na zewnątrz z przeludnionego baraku. Ubikacji wprawdzie nie było, ale dom sąsiadów ogrodzony był płotem, więc wychodziło się za ten płot od strony protoki, w nocy bliżej a w dzień trochę dalej.

W tym domu zaczęliśmy „swobodny” żywot, sfłoczeni w jednej izbie, gdzie wrzało jak w ulu. Mieszkało tu dwadzieścia dwoje dzieci w wieku od trzech do dziesięciu lat i dziesięć osób dorosłych. Duchota straszna, drzwi bez przerwy otwierane przez wychodzących i wchodzących. Nawet w nocy nie było tu spokoju.

Żeby jakoś wyżywić rodziny, rodzice musieli iść do pracy. Głód nie tylko nam dawał się we znaki. Wojna, trwająca już półtora roku, w równym stopniu dokuczała Rosjanom. Ojcowie pracowali przy robotach ziemnych, kopali doły pod wodociągi miejskie. Matki zatrudniano przy sprzą-taniu ulic. Jedynie ciotka Ulki Grochowskiej, która chorowała na gruźlicę, nie pracowała. Leżąc w łóżku użerała się bez przerwy z dziećmiakami pozostawionymi samym sobie w domu. A my, dzieci, robiliśmy wszystko co się dało, żeby jakoś wypełnić czas. Nie rozumieliśmy, że chorej ciotce tak bardzo potrzebny był spokój. Ciotka kaślała i schła z dnia na dzień. Nie pamiętam, żeby kiedyś był u niej lekarz. Nawet we wczesnym stadium jej choroby, jeszcze w tajdze, lekarza nie było. Teraz zresztą może był już niepotrzebny, uratować ją mógł chyba tylko cud.

Szybko nadeszła zima i spadł śnieg. W mojej rodzinie tylko ja i moja starsza siostra mogliśmy wychodzić na dwór, bo trójka młodszego rodzeństwa nie miała butów i musiała siedzieć w domu. Chłopcy - Rosjanie z sąsiedztwa - Pietka i Kolka mieli narty i zjeżdżali z pochyłego brzegu protoki na śnieżną i zamrożoną strugę. Zaczęliśmy się z nimi kolegować. Czasami któryś pożyczał nam narty na kilka zjazdów, ale to było za mało dla nas i zaczęliśmy kombinować, w jaki sposób zdobyć narty. Znaleźliśmy starą, wysoką beczkę, z której wykruszyło się kilka klepek. Zabraliśmy te klepki i, żeby upodobnić je trochę do nart, zestrugaliśmy ich czubki i zagięliśmy na gorąco. Grzało się zestrugany czubek klepki przez jakieś pół godziny we wrzątku i następnie gięło we drzwiach, po czym wiązało się zagięty koniec do krzywego patyka i suszyło przez parę dni na przylepce. Pośrodku klepki, albo trochę dalej od czubka, przybijało się kawałek paska w kształcie pętli i narta była gotowa. Postanowiliśmy także powiększyć trochę górę zjazdową. Usypaliśmy na skarpie dwumetrową stertę śniegu, a na dole zamontowaliśmy małą trampolinę, która podrzucała zjeżdżającego nieco do góry. Wykonując odpowiedni podskok na trampolinie, skakaliśmy w dal i odmierzali rezultaty skoku.

Pogoda była zawsze mroźna, śnieg suchy i sypki, jedynie w miejscach wydeptanych tworzyła się twarda nawierzchnia, po której można było jeździć na łyżwach. Łyżew, oczywiście, też nam brakowało. Tylko Zdzisiek skombinował gdzieś jedną parę dla siebie.

Ja i inni moi młodsi koledzy robiliśmy sobie zwane z ukraińska „kistki” znane nam z Podola. Jeździły na nich dzieci ukraińskie. Był to kawałek drewna o przekroju trójkątnym, długości buta, albo trochę dłuższy. Dolna krawędź tego trójkątnego drewna była okuta drutem żelaznym, o grubości 5-6 mm. Przód był lekko podcięty do góry. Przywiązywało się je do buta mocnym, skręcanym sznurkiem. Tylną pętlę mocującą zakładało się na cholewkę i skręcało na odpowiednią długość. Przednie wiązanie było łapanie za przyszwę i skręcane patyczkiem, zakładało się jego dłuższy koniec za cholewkę. Jazda na kistkach była podobna do jazdy na łyżwach śniegówkach. Miejscami śnieg na lodzie łań był zdmuchany zadymką, gdzie powstawało świetne lodowisko.

Jeżdżąc na nartach czy na kistkach nie wytrzymałyśmy długo na mrozie, więc często biegaliśmy do domu, żeby się ogrzać. Marzy nam uszy i ręce. Przez te częste otwieranie drzwi w domu wybuchały spięcia, bo jak się otworzyło drzwi, mroźne powietrze prosto z dworu wypełniało całą izbę. W domu było duszno i od wpadającego mroźnego powietrza powstawała chmura pary, że aż ciemniało w całej izbie. Na domiar złego nad drzwiami przy otwartych drzwiach ulatniające się kłęby pary tworzyły na zewnątrz nawis śnieżny, jakby dodatkowy daszek nad drzwiami. Od

czasu do czasu nawis ten obrywał się, spadając na ziemię przed progiem domu. Jeśli się go nie usunęło w porę, został ubity nogami wchodzących i wychodzących. W ten sposób podnosił się poziom śniegu przed progiem tak, że od czasu do czasu trzeba było wyrąbywać śnieg spod progu za pomocą kilofa, siekiery i łopaty. Nadto ubity śnieg powodował niedomykanie się drzwi, które trzeba było często czyścić z lodu. Było to nasze, chłopców, zajęcie niechętnie wykonywane.

Zasadniczym naszym obowiązkiem oraz wszystkich dzieci od lat sześciu, które tylko miały jakieś buty, było zaopatrywanie domu w wodę. Każdy jako tako ubrany był obowiązany do noszenia wody. W naszej dzielnicy wodę do picia i do gospodarstwa domowego brało się z jednej z miejskich bani, przystosowanej do publicznego wydawania wody za opłatą. Nas nie było stać na kupowanie żetonów na wodę, a do Kanu było stąd daleko, musieliśmy więc podkraść wodę.

Większość mieszkańców Kanska zaopatrywała się w wodę od „wodowozów” (woziwodów). Wodowóz, to zawód tak powszechnie znany i ceniony w Kraju Rad, jak dawniej u nas kominarz albo obecnie listonosz. O wodowozie śpiewało się piosenki, jak na przykład ta z filmu „Świat się śmieje”:

*„Udiwilielnyj wopros, paczemu ja wadawoz?
Patamu szto biez wody i nitudy i nisiudy.”*

Wodowóz rozwoził wodę beczkowozem. Był to stosunkowo krótki wóz z beczką drewnianą. Beczka ta miała u góry otwór do czerpania wody, a z tyłu, na dole, czop do spuszczenia wody bezpośrednio do wiaderka. Cena za wiadro życiodajnej cieczy wynosiła 45 kopiejek płatnych żetonami kupowanymi w magistracie, ale mało kto stosował się do tego wymogu. Korzystniej było płacić pieniędzmi, bo wówczas wozowoda pozwalała nalać całe wiaderko. Za magistrackie żetony wody skąpiono, pozwalając nieraz nalać zaledwie 3/4 wiadra. Magistrat tracił na tym, bo uzyskiwał nie więcej niż 10% za ilość rozwieszoną przez wozowodę. Najlepszym klientem dla wozowody był ten, który w ogóle nie brał wody, a od niego kupował tylko żetony i realizował je w bani. Piszę o tym dlatego, żeby uzmysłowić czytelnikom, jak naprawdę wygląda socjalistyczna gospodarka. Mniej więcej według tego modelu konduktorzy kolejowi i autobusów PKS pobierali w Polsce Ludowej opłaty za przejazd nie dając pasażerom biletów.

Moja rodzina rzadko korzystała z usług państwowego wozowody, bo nie było nas stać na wydatek 45 kopiejek. Chodziliśmy więc pod banie, gdzie z budynku sterczała końcówka zagiętej rury czerpalnej, której kranik spustowy zainstalowany był wewnątrz bani, za okienkiem otwieranym przez pracownicę. Na chodniku pod rurką stawało się wiaderko i pukało w okienko, wsuwając w szczelinę żeton za 15 kopiejek a najlepiej monetę,



bo ta kobieta nie była głupsza od wozivody. Kobieta przyjmowała zapłatę i odkręcała kran. W zimie okienko zamarzało i kobieta niewiele przez nie widziała, więc po napełnieniu wiadra trzeba było krzyknąć:

- Zakrywaj!

Ale zanim kobieta zakręciła kran, z rury wylewało się jeszcze sporo wody, którą skrzętnie łapaliśmy w co się dało: do baniek, garnków i wiader.

Żeby nabrać wody za darmo, czatowaliśmy zziębnięci, przylepieni do ściany, niewidoczni dla obsługującej kran kobiety. Czekaliśmy aż ktoś kupujący wodę napełni naczynia i zaraz po nim podstawialiśmy swoje. Jak się trafił dobry człowiek, to litując się nad nami nie wołał na kobietę, żeby zamykała kran. Wtedy jak najszybciej napełnialiśmy swoje naczynia i biegliśmy do domu. Po ogrzaniu się powtarzaliśmy „wodny” kurs, czasem wielokrotnie. Zdarzało się i tak, że sprzedająca wodę w bani kobieta wychuchała w zamarzniętej szybie przezroczyste „oczko”, przez które widziała co się dzieje na zewnątrz i zamykała w porę kran, a my musieliśmy radzić sobie inaczej.

Otóż do tego punktu przyjeżdżał po wodę również woziwoda. Dla jego beczki przeznaczona była gruba rura z rękawem wylewowym wysunięta aż na środek jezdni, poza chodnik dla pieszych. Woziwoda musiał nieraz długo manewrować swoją nędzną szkapiną, żeby wylew trafił do otworu w beczce. Kiedy mu się wreszcie to udało, kobieta obsługująca rozdawanie wody (nazywana przez nas „Babą Jagą” bo nie lubiła Polaków), wchodziła po drabinie, żeby odkręcić duży zawór wodny znajdujący się pod sufitem wewnątrz budynku bani. Po napełnieniu beczki woziwoda krzyczał:

- Zakrywaj! - i odjeżdżał.

Zanim kobieta weszła na drabinę i zakręciła zawór, mijał jakiś czas i woda lała się z wysoka rozpryskując się w podmuchach wiatru i zamieniając się przy siarczystym mrozie w lód, który w oczach urastał do lodowej góry. Podchodziliśmy tam i podstawialiśmy nasze małe naczynia starając się nałapać wody zanim zamieni się w lód. Nie było to łatwe zadanie, bo lejący się z góry strumień, jak wspomniałem, wiatr rozbijał na małe strumyczki, zmieniające pod jego podmuchem kierunek i intensywność, a te, które dotarły do ziemi, rozpryskiwały się w zetknięciu z powstającą na jezdni górą lodową. Byliśmy w ten sposób narażeni na przyszcic z góry i ochłapanie z dołu. Czasem przemoczeni na blisko czterdziestostopniowym mrozie musieliśmy biec do domu zebrawszy bardzo mało wody lub z pustymi naczyniami. Ale myśleliśmy tylko o tym, żeby jak najprędzej się ogrzać.

Zdobywanie wody było bardzo trudne i nie zawsze możliwe. Miejsce pod oknem bani, jak również to dla woziwody na środku jezdni, były stale zalewane strumieniami wody. Stąd powstawały tam lodowe wzniesienia, czasem tak wysokie, że nie można było podstawić wiadra pod wylot rury.

Woziwoda też nieraz nie mógł podstawić beczki pod dużą wylewkę, bo uniemożliwiła to góra lodowa powstała na jezdni. Przychodzili wówczas robotnicy magistracy i przez kilka dni skuwali lód.

Po wodę biegaliśmy po kilka razy dziennie, szczególnie wtedy, kiedy mama robiła pranie. Czasami musieliśmy wydać 15 kopiejek na wodę, ale zanim nabrał wody ten, kto podał monetę, najpierw inni podstawiali swoje naczynia. Wodę zdobywało się trudno, ale jeszcze trudniej zdobyć było coś, co można by w niej ugotować. Wyżywienie całej rodziny tak, żeby każdy najadał się do syta, przekraczało nasze możliwości. W miarę przedłużania się wojny praca stawała się coraz bardziej obowiązkiem, a nie źródłem utrzymania. Podstawę naszej egzystencji stanowiła porcja chleba na kartki i tego, co się skombinowało lub ukradło.

Dla przykładu podam, że w tym czasie zarobek ojca wynosił 250 rubli, a matki około 180 rubli. Małe wiaderko ziemniaków na bazarze kosztowało wówczas 50 rubli. Tak więc za swoje głodowe zarobki rodzice mogli kupić: ojciec 30 a matka 20 kilogramów ziemniaków. Na chleb wydawało się niewiele, bo ten na kartki sprzedawany był po cenie państwowej, to jest 1 rubel za kilogram chleba. Czasem chleb ukazywał się w wolnej sprzedaży po 20 rubli za kilogram. Taką samą cenę miał chleb oferowany na bazarach. Dzienny przydział chleba zjadaliśmy po kromce na kolację i na śniadanie. Czasem matce udawało się ukryć kawałek chleba, który dawała nam jako dodatek do zupy kartoflanki na obiad. Głodowaliśmy cały dzień i całą noc. Bardzo trudno było zasnąć z pustym żołądkiem, ale kiedy to się udało spaliśmy rzucając się na pryczy z powodu duszności panującej w przeludnionej izbie i drapiąc się przez sen przez atakujące nas insekty.

Po przebudzeniu się rano każdy zaczynał marzyć o jedzeniu. Przypominaliśmy sobie, jak to przed dwoma laty mama piekła na niedzielę ciasto. Jak grymasiliśmy, że chleb był czerstwy i czekaliśmy na nowy, który mama wypiekała przeważnie raz na tydzień, albo raz na dwa tygodnie. Przypominałem sobie pieczenie chleba, kiedy bochny siedziały jeszcze w chlebowym piecu, a dzieciom było pilno do świeżego chleba. Mama wypiekała wtedy przy ogniu tak zwane po krakowsku „podpłomyki” posypane cukrem. Bardzo je lubiliśmy, bardziej niż ciasto. Wspominaliśmy te czasy, które teraz wydawały się mało prawdopodobne, prawie jak sen.

Pewnego dnia stale leżąca w łóżku ciotka Ula poczuła się gorzej. Pochlōnięci walką o przetrwanie w tej biedzie, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ciotka może umrzeć. Chorą opiekowały się jej dzieci, szczególnie najstarszy Boniek. Ciotka była bardzo nieszczęśliwa, bo miała przy sobie trzyletnią córeczkę - Anielę. Ale zrozumiałem to dopiero jako dorosły, kiedy mogłem ocenić jej rozpacz o los dziecka po jej odejściu. Na wiadomość o pogorszeniu się stanu zdrowia ciotki ktoś powiedział, że jedynym

ratunkiem dla niej może być picie psiego sadła. Ciotka potraktowała tę wiadomość jak ostatnią deskę ratunku. Wyraziła gotowość picia tego sadła, ale jak je zdobyć? Na prośbę ciotki mój ojciec i wujek Grochowski podjęli się zdobyć ten „lek”.

Wypytał miejscowych ludzi, czy w Kańsku jest hycel i dowiedzieli się, że jest i mieszka gdzieś za miastem. Następnego dnia udali się tam i za niewielką opłatą hycel dał im całą wypatroszoną psią tuszkę osobnika sporego i dość tłustego. Podobna była do tuszki baraniej. Powycinali z niej całe sadełko, które po stopieniu dali ciotce do picia. Piła je po łyżce kilka razy dziennie, pełna wiary, że to ją uzdrowi. Chciała żyć bardziej chyba dla swoich dzieci - zwłaszcza najmłodszej Anielki - niż dla siebie.

Przy obieraniu psiej tuszki z sadełka porównywano wygląd psiego mięsa do baraniny. Wąchano je stwierdzając, że wcale nie ma przykrego zapachu, że pachnie po prostu świeżym mięsem. Wreszcie ktoś zaproponował:

- Może byśmy ugotowali i spróbowali psiny? - zażartowała pani Tarkowska.

- No to ugotujmy i spóbujmy - odpowiedział ktoś z domowników.

I tak się też stało. Ugotowano całą ćwiartkę i wszyscy żartowali, robiąc przy tym różne aluzje, w czym celowała pani Tarkowska, która była wciąż młodą i bardzo urodziwą kobietą. Nawet w tej biedzie tryskała życiem i humorem, co było pociechą dla wszystkich. W czasie gotowania psiny pani Tarkowska podnosiła pokrywkę garnka i naśladowała szczekanie psa, albo robiła jeszcze inne figle, prowokując wszystkich do śmiechu.

Po ugotowaniu mięsa nie było chętnych do jedzenia, chociaż pani Tarkowska krajała po kawałku i zachęcała do skosztowania. Pierwszy odważył się wujek Grochowski i oznajmił wszystkim, że mięso jest znakomite. Znaleźli się następni odważni, który także chwalili smak niecodziennego mięsiwa. Widok jedzących zrobił swoje i za chwilę jedli już wszyscy, łącznie z panią Calikową, która była najdłużej nieufna. Każdy był jednakowo głodny, ale każdy miał inne zdanie co do smaku tego mięsa. Jedni twierdzili, że smakuje jak baranina, inni, że jak królik, jeszcze inni przyrównywali je do cielęciny. Myślę, że wszystkie te opinie były podyktowane przez wyobraźnię, bo chyba nikt już nie pamiętał, jak smakują wspomniane gatunki mięsa, a chwalono je, jedli wszyscy, nie marnując okazji najeżenia się do syta. Szczerze mówiąc, mnie to mięso smakowało i jadłem, aż mi się uszy trzęsły.

Następnego dnia ojcowie znowu poszli do hycla i przynieśli cztery tuszki. Pomogli hyclowi ściągać skórki i za tuszki zapłacili grosze. Zanim ojcowie wrócili, pierwsza tuszka z poprzedniego dnia była już prawie zjedzona, pozostało z niej tylko po porcji dla ojców. Nowonabyte tuszki postanowiono gotować po jednej dziennie, dzieląc mięso sprawiedliwie mię-

dzy wszystkich. Przeznaczona na pierwszy obiad poszła od razu do garnka, trzy pozostałe powiesiliśmy na strychu w całości, uzupełniając stopniowo zapas mięsa do bezpośredniej konsumpcji.

Od tego czasu zamiast postnej kartoflanki była kartoflanka z mięsem. Matki, uważając, że nie można jeść za dużo jednego dnia, wydzielały odpowiednie codzienne porcje.

Sąsiedzi zaczęli interesować się, co też ci Polacy noszą na strych i co stamtąd wnoszą. Wyśledzili wkrótce, że to mięso. Dowiedzieli się od kogoś, skąd to mięso pochodzi i zaczęli na nas pluć, wymyślać nam od świni, bo potrafimy zeżreć wszystko, nawet psa. Nie zwracaliśmy na to uwagi, bo chęć zaspokojenia głodu, nękającego nas od dwóch lat, była silniejsza niż jakiegokolwiek uwarunkowania. Przez kilka tygodni Kolka i Pietka mieli zakaz bawienia się z nami. A w naszej izbie pachniało „baraniną”, choć nie brakowało problemów z jej gotowaniem, bo na płycie kuchennej były tylko dwa miejsca do gotowania na pięć rodzin. Ustalono wprawdzie kolejność gotowania dla współlokatorów, ale i tak nie brakowało powodów do kłótni, ba - na przykład - ktoś nie dopilnował ognia, albo odstawił na chwilę czyjś garnek, czy zajął cudze miejsce do gotowania. Czasami żartowano z naszej sytuacji, w czym celowała pani Tarkowska, najweselsza z nas. Zdejmując swój garnek z kuchni wołała:

- No, kto teraz chętny na tę dziurę? Decydować się, póki gorąca! - Chętnych oczywiście nigdy nie brakowało. W piecu paliło się przez cały dzień nie dlatego, że była zima, tylko dla samego gotowania.

Teraz żyło nam się jakby trochę lepiej, zaczęliśmy się trochę poprawiać: mizerni nabierali ciała, bladzi nabierali rumieńców, a słabsi nabierali sił.

Tylko ciotka Ulka wyglądała coraz gorzej. Z dnia na dzień schła. Nie pomagało ani sadełko, ani „baraninka”. Uschła tak, że został z niej prawie cień. Zapadły się jej piękne i gładkie niegdyś policzki, zczerniały oczodoły. Początkowo nie mogła wstać z łóżka, a później nie mogła już nawet siedzieć. Kasłała i trzymając różaniec w rękach modliła się.

Wiosną 1942 roku zmarła, zasnęła na zawsze pozostawiając czworo dzieci. Nie można było urządzić jej pogrzebu kościelnego, bo nie było tu kościoła ani cerkwi, ale mimo to była chowana po katolicku. Przy trumnie rodzina i cała nasza grupa przyjaciół oddała jej dowód pamięci i troski o jej duszę. Modliliśmy się za nią zarówno w domu jak i w drodze na cmentarz oraz w czasie pochówku. Wujek nie wiadomo skąd przyprowadził furmankę, żeby odwieźć ciało ciotki na cmentarz. Kto mógł wziął udział w pogrzebie. Cmentarz znajdował się około 2 km. za miastem na drugim brzegu Kanu. Na grobie ciotki ustawiono krzyż brzozy, chyba jedyny na tym cmentarzu.

Kalesony za denaturat

W czasie silnych mrozów zimą 1942 r. nasi ojcowie (nie wiem, czy wszyscy) pracowali na lodach Kanu pod mostem kolejowym. Zima była ciężka i siarczyste mrozy, więc dla zapewnienia statyczności mostu kolejowego zatrudnieni przez magistrat robotnicy wykuwali grubą warstwę lodu wokół filarów mostowych. Nie wiem, czy to miało chronić filary od naporu lodu na skutek coraz niższej temperatury, czy od naporu kry przy roztopach.

Praca przy lodzie w czasie silnych mrozów była zaliczana do najcięższych. Przy pracy tej byli zatrudniani także Rosjanie, ale oni dużo mniej przykładali się do pracy. Wszyscy robotnicy otrzymywali ciepłe waciaki, walonki i rękawice oraz jako preparat rozgrzewający - denaturat. Dla każdego kwaterka dziennie. Nasi ojcowie nie byli przyzwyczajeni do alkoholu, a ćwiartka denaturatu dla wymizierowanego, wycieńczonego człowieka to stanowczo za dużo. Ale pracujący przy lodzie, oprócz dokuczliwego zimna, byli narażeni na częste oblewanie wodą rozpryskiwaną przez wpadające do przerębli odłupywane kawały lodu. Żeby więc jakoś wytrzymać w tych warunkach, ojcowie musieli wypijać choć połowę przydziału, a resztę przynosili do domu. Nie było oczywiście żadnej przekąski ani dla Polaków, ani dla Rosjan, którzy wypijali cały dzienny przydział denaturatu. Jedynie lodowata woda z przerębła łagodziła pieczenie w gardle.

Po kilku dniach pracy naszych ojców przy skuwaniu lodu uzbierał się w domu mały „zapasik” denaturatu. Oczywiście nie próbowałem go, bo byłem za mały i wcale nie miałem na niego ochoty, a i rodzice nie pili chowając alkohol przed dzieciarnią. Nie budził zainteresowania, pamiętam jego słomkowy kolor, przez co przypominał naftę.

W Kansku był punkt poborowy do wojska i stacjonowała tam jakaś jednostka wojskowa, która przygotowywała żołnierzy na front. Po mieście kręciło się czasem trochę wojskowych, najczęściej o zmierzchu. Przeskakiwali przez płoty i biegali po domach pytając o wódkę i wino. Za alkohol oferowali coś ze swojej fasowanej garderoby.

Jednego razu wstąpił do nas żołnierz szukający alkoholu. Za ofiarowaną przez ojca ćwiartkę denaturatu zostawił nam nowiutką wojskową kufajkę a zabrał naszą starą, mocno zniszczoną. Obie strony były zadowolone: żołnierz po wypiciu zrobił się rozmowny, trochę pośpiewał, porozmawiał i poszedł. Ojciec cieszył się z nowego ubrania i my wszyscy razem z nim. Przestraszyliśmy się bardzo, gdy następnego dnia przyszedł do nas ten sam co wczoraj żołnierz, ale nie sam tylko ze swym dowódcą. Na szczęście strach nasz nie trwał długo. Okazało się, że „starszyna” obiecał żołnierzowi darować zamianę kufajki, jeśli ten wskaże miejsce, gdzie moż-

na popić. Dowiedzieliśmy się od nich, że stacjonująca w Kansku jednostka wojskowa jutro wyjeżdża na front, muszą więc przedtem popić. Dowódca i żołnierz wskazywali na różne części swego ubrania znaczącymi gestami, dając do zrozumienia, co mogą dać za libację. Wszyscy mieszkańcy naszego domu wyciągnęli zapasy denaturatu, a matka przygotowała kilka ziemniaków w mundurkach i jedną cebulę na zakąskę. Żołnierze rozgościli się na dobre, trunek smakował im znakomicie, toteż bardzo weseli i wdzięczni opuścili nasz dom po północy, ledwie trzymając się na nogach. Wyglądali jak przebierańcy w cywilnych łachmanach. Z całego umundurowania zostały im tylko wojskowe spodnie. Przepili prawie całą garderobę: koszule, podkoszulki, bluzy, czapki, kufajki, walonki, pasy a nawet kalessony. Śmiejąc się zapewniali nas, że jutro jadą na front, a tam ubranie jest nieważne.

Następnego dnia po ich wyjeździe wciąż oglądaliśmy nową garderobę i cieszyliśmy się nią bardzo. Otrzymałem nową kufajkę, choć za dużą, to przecież po małych przeróbkach mogłem w niej paradować szczęśliwy, że mam ubranie, które będzie świetnie chronić mnie od mrozu.

Na wiosnę domy rosną

Przyszła wiosna. Roztopy w mieście trwały kilka tygodni. Ubity śnieg na ulicach i na chodnikach miał co najmniej pół metra grubości. Była to twarda tafła śniegu z cechami zbliżonymi do warstwy lodowej. Na szczęście ocieplenie nie przychodzi tu nagle tylko kolejnymi etapami. Słońce w ciągu dnia rozpuszcza powierzchniową brudną warstwę śniegu i spływająca woda drąży głębokie bruzdy w śnieżnej nawierzchni. Wieczorem wszystko zamarza, a w dzień promienie słońca znów rozpuszczają górną warstwę śniegu, czyniąc ubitą zmarzlinę coraz cieńszą.

Ulica Mostowa miała zwartą zabudowę domów do samego chodnika. Zimą warstwa śniegu na chodniku była tak gruba, że sięgała do dolnej granicy okien domów stojących tuż przy ulicy. Idący ulicą mieli wówczas okna domów na wysokości kolan albo jeszcze niżej, jak to ma miejsce w przypadku suterenu. W miarę, jak śnieg topniał, poziom chodnika stawał się coraz niższy i coraz większa część elewacji domów ukazywała się naszym oczom. Okna odzyskiwały normalne proporcje w stosunku do poziomu ulicy. Mówiliśmy, że na wiosnę domy „rosną”.

Najgorzej było pod koniec roztopów. Tam, gdzie kończył się lodowaty śnieg, na chodnikach i jezdni tworzyło się czarne błoto. W Kansku tylko kilka ulic miało utwardzoną nawierzchnię, przeważały ulice gruntowe, na których głębokie, rozległe błoto bardzo utrudniało chodzenie, nieraz przez okres dwóch tygodni dopóki wiatr i słońce nie osuszyły drogi. Nie-

które ulice, bliżej centrum, miały trotuary z grubych desek na podkładach poprzecznych, ale tylko po jednej stronie. Trotuary przeważnie były zniszczone, niektóre deski zmurszałe albo w ogóle ich brakowało. Tam, gdzie było więcej desek, przechodnie je odrywali, żeby je położyć tam, gdzie ich brakowało. Kiedy trotuary obeschły, wkrótce spostrzeżliśmy w nich źródło opału. Węgłem tu nikt nie palił, bo po prostu na potrzeby ludności węgla nie było. Każdy przed zimą starał się o drzewo na opał, a nam go brakowało. Wybiegaliśmy wieczorem pod górkę w okolicę bani, albo na ulicę Mostową i zabieraliśmy deski, które dało się oderwać. Pod domem szybkotka rąbaliśmy je na drobne kawałki do palenia. W ogóle przez całą zimą niewiele mieliśmy drewna na opał. Każdy, kto mógł znosił je po drodze do domu skąd się dało. Dom przy ulicy Protocznej, jak wspominałem, miał odśnieżony jeden szczyt chaty. Kiedyś na pewno był cały, ale ktoś go użył na opał, a teraz my spaliliśmy drugi. Ojcowie, wracając z pracy, zbierali po drodze każde drewno, łupkę opałową, żerdź lub starą dechę. Czasami gdy nie było na czym gotować, trzeba było w nocy oderwać kilka sztachet od czyjegoś płotu lub ukraść pustą beczkę, żeby ją później pokruszyć na klepki. W ostateczności chodziliśmy daleko za Kan do lasu i stamtąd coś przynosiliśmy. Pomimo wiosny, choć mróz zelżał, paliło się tyle co w zimie, bo żeby każdy spośród tylu ludzi coś ugotował, mu-



siało się palić cały czas na okrągło, aż w domu robiło się duszno od kuchennych oparów. Trzeba było otwierać drzwi. I tak z łaski Pana Boga nikt nie zachorował od przeciągów.

Nie pamiętam z jakiej przyczyny, ale na wiosnę psiny już nie było. Głód coraz bardziej dawał się we znaki nie tylko nam ale i Rosjanom. Chleba ciągle było mało i znów nieustannie głodowaliśmy. Żeby się jakoś ratować rodzice zabiegali jak tylko mogli i „główkowali” jak zdobyć trochę żywności. Wreszcie moja mama z panią Calikową i z panią Tarkową dostały się do pracy w piekarni w charakterze drwali. Na prace przy pieczeniu chleba nie miały szans. Jako drwalki też miały trudności i nie dlatego, że są kobietami, bo już w tym czasie mężczyźni wszędzie brakowało, gdyż każdy kto nie miał na tyle odpowiedzialnej pracy, że kobieta nie mogła go zastąpić, dawno był w armii i niejedna żona otrzymała tak zwane „*pochoronne*” - powiadomienie, że zginął. Ze zdobyciem pracy drwalek matki miały trudności, bo naczelnik personalny ocenił je jako zbyt mizerne do tak ciężkiej pracy. Matki przekonywały go, że mają kwalifikacje jako drwale, bo nabyły je w tajdze. Wreszcie dał się przekonać z uśmiechem, bo pewnie domyślał się o co chodzi. Wielu Rosjan byłoby chętnych na to stanowisko, ale brakowało ich, a Rosjanki nie lubiły ciężko pracować, więc się zgodził.

Zaplecze opałowe, gdzie pracowały nasze matki, znajdowało się na terenie piekarni i zdobycie bochenka chleba wybrakowanego nie było trudne. Drewno trzeba było donosić na hale do samych pieców. Wprawdzie ta praca nie była powierzana naszym matkom, to jednak Rosjanie, którzy byli wpuszczani do budynku piekarni byli życzliwi i na ogół tam wszyscy wszystkich wspierali dobrami zdobycznymi, a szczególnie dobrami „kazionnymi”, pochodzącymi z kradzieży. Każdy był przekonany, że kradzione się nie marnuje. Zwyczaj wspierania się wzajemnie miały też warstwy kierownicze, nie tylko względem siebie, ale i względem podwładnych.

Tak więc pracowała moja matka wraz z koleżankami, piłując piłą poprzeczną grube drwa na odpowiedniej długości klocki, które później za pomocą siekiery, klinów i młotów rozdrabniane były na mniejsze części. Drewno urąbane układały w pryzmy, by je przesuszyć przed paleniem w piecach chlebowych. Staraly się pracować wydajnie, bo im zależało na tej pracy. Na początku było im bardzo trudno wyrobić normę przewidzianą dla drwali. Na szczęście normy nie były zbyt wygórowane, więc z trudem, ale wreszcie sprostaly im.

Jak pamiętam z tajgi i z Kanska wydajność robotnika była niska. Stań i norma musiała być niska, bo gdyby była wysoka, to pozorna wydajność robotników byłaby niepomierne mała. Toteż dzięki niskim nor-

mom robotnicy pracowali wydajnie, przekraczając te normy nieraz bardzo wysoko. W zakładach często robiono masówki, na których wyczytywano nazwiska robotników osiągających po 300, a nawet i więcej procent normy. Gloryfikowano znaną grupę stachanowców lub typowano nowych w ich szeregi.

Matki stachanowcami niestety nie były. Pracując zerkwały na drzwi piekarni czy ktoś nie wyrzuci im bochenka wybrakowanego chleba, bo taki zawsze musiał być, bowiem w piekarni produktem ubocznym był kwas chlebowy, ulubiony napój wszystkich Rosjan, a szczególnie kadry kierowniczej, która raczej nie głodowała, a po jedzeniu chce się pić.

Kwas chlebowy był więc planowaną produkcją, a jeśli tak, to potrzebny był wybrakowany chleb, żeby obniżyć koszty produkcji. Chleb wybrakowany to na przykład bochenek, który przy wyrzucaniu z foremki nie wyszedł w całości, rozerwał się, albo oderwała się skóra przywarta do foremki lub został przypadkowo zgnieciony itp.

Jeżeli z pieca nie wychodziły braki, to brakarz robił je z dobrego chleba. Rozgniatał pewną ilość gorących bochenków i wrzucał do skrzyni. Skrzynka z brakami była najbardziej dostępna dla innych robotników piekarni. Ci, co nosili drewno lub wynosili popiół z pieca, łapali po drodze zgnieciony bochenek chleba, a ponieważ sami wszystkiego nie mogli zjeść ani wynieść, więc dawali innym. Czasem sami brakarze albo piekarze wynosili po kilka bochenków i po upewnieniu się, że nikt ich nie widzi, rzucali chlebem w nasze matki lub w konwojentów, którzy przyjeżdżali po chleb na zaopatrzenie miasta. Z dodatkowego chleba nie musieli się rozliczać.

Tak to nasze matki najadły się przy pracy świeżego chleba i jeszcze pewną ilość chowały za garderobę w miejsca trudne do odkrycia przy powierzchniowej rewizji. A rewizje były częste.

Przy wyjściu z terenu piekarni robotnicy przechodzili przez portiernię pojedynczo jeden za drugim i byli obserwowani przez rewidenta i służbę wartowniczą. W każdej chwili rewident mógł każdego wychodzącego na wrywkę zrewidować przez obmacanie, lub wezwać do kabiny na rewizję osobistą. Zwykle matki nasze i inne robotnice przy wyjściu z piekarni miały jakby obfitsze kształty naturalne: większy biust, brzuch albo pośladki. Po przyjeździe do domu kształty ich wracały do normy, a nadmiar ich tuszy wędrował do naszych żołądków. Chleb był wprawdzie zgnieciony na zakalec, ale to dla nas nie miało większego znaczenia.

Chleb był zawsze z razowej mąki pszennej lub żytniej albo „kombinirowany” - czyli pszenno-żytni. Chleb pszenny dominował dlatego, że rolnicza Syberia najwięcej uprawia pszenicy jarej. Uprawia też jare żyto, ale w mniejszej ilości, gdyż jest ono mniej wydajne i stąd przewaga pszenicy. Zboża ozime są tam nieznane, nie wytrzymują klimatu Syberii.

Do tego małego dobrobytu w zaspakajaniu głodu doszło jeszcze jedno korzystne wydarzenie, a mianowicie ojcowie nasi z rozdzielnika „Gorkomchozu” otrzymali przydziały na działki pracownicze. Radość była tym większa, że działka była blisko, po drugiej stronie łąchy, nie dalej jak 500 metrów od domu. Powierzchnia działki wynosiła około 100 m² a ziemia była pierwszej klasy. Mimo dobrej gleby ojciec naniósł na działkę sporą ilość końskiego nawozu i innych nieczystości, jak fekalia wyrzucane z miasta na brzeg łąchy. Wszystko to odpowiednio rozrzucił i przekopał.

Rosjanie, którzy obok uprawiali swoje poletka, kleli i pluli patrząc na pracę ojca. Utwierdzali się w przekonaniu, że Polak to człowiek obrzydliwy, który nie tylko wszystko zje, ale zje nawet to, co na gównie urosnie. Nikt z tutejszych obywateli nie nawoził gleby nawozem zwierzęcym a tym bardziej ludzkimi odchodami. Budziło to w nich obrzydzenie, po prostu nie znali takiej kultury rolnej.

Kilka lat później przekonałem się o tym, bo nawet w kołchodzie nie nawożono pól. Stosowano tak zwaną trójpolówkę: jednego roku na danym polu coś się sadi lub sieje, a dwa następne lata ziemia ta odpoczywa, czyli rośnie tam perz. Nawóz z obór i stajen wywożono na mokradła, gdzie robiono nasypy przed przepustem wodnym lub zasypywano nim mokre dołki na drogach.

Używano jedynie pewnej ilości nawozu końskiego do uprawy ogórków, jednak nie do użyźniania gleby, ale jako źródło ciepła. Usypywano grubą warstwę końskiego gnoju pod warstwą ziemi, na której sadzono ogórki. Taka uprawa ogórków na Syberii jest naprawdę wielkim dobrodziejstwem, bo inaczej ogórki nie zdążyłyby dojrzeć i nie rodziłyby się w tak dużych ilościach. Ogórki na Syberii mają w ten sposób ciepło, a korzeniami czerpią nawóz. Oczywiście ta metoda jest dobra tylko w ogródkach przydomowych, bo każdego wieczoru trzeba je mocno podlewać. Myślę, że w Polsce też przydałaby się na działkach taka metoda uprawy ogórków. Nie znaliśmy jeszcze tej metody i posialiśmy ogórki po naszemu. Urosły, ale późno i przyniosły mniejszy plon. Za to posadzone na naszej działce ziemniaki (2 wiadra) rosły pięknie wzbudzając podziw Rosjan. Oprócz ogórków i ziemniaków posialiśmy grządkę buraków ćwikłowych i cukrowych, bo byliśmy bardzo spragnieni czegoś słodkiego.

Ostatnio jedliśmy trochę słodczy kiedy „Andersiacy” w Krasnojarsku częstowali nas cukierkami. Niektórzy Rosjanie zdobywali na czarnym rynku małe ilości cukru w postaci brył kryształu cukrowego, ale dla nas był on niedostępny ze względu na brak pieniędzy. Sianie buraków cukrowych dawało nam nadzieję, że napijemy się słodkiego wywaru.